

**KLASYKA
KRYMINAŁU
Z JOHNEM
REBUSEM**

IAN RANKIN

**SEKS MOŻE ZNISZCZYĆ NAWET
NAJBARDZIEJ OBIECUJĄCEGO POLITYKA.
A POLITYKA MOŻE BYĆ ZABÓJCZA.**

ZAGRAJMY W BUTELKĘ

ALBATROS

Tytuł oryginału:
STRIP JACK

Copyright © John Rebus Limited 1992
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Magda Zubrycka-Wernerowska, Storytel 2022

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Projekt graficzny okładki i serii: Agnieszka Drabek

Zdjęcie na okładce: © Gavin Prest/Arcangel Images

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros|Instagram.com/wydawnictwoalbatros



DETEKTYW EDYNBURSKIEJ POLICJI

John Rebus

Szkocki twardziel, który podczas konfliktu irlandzkiego służył w brytyjskiej armii i przeszedł szkolenie w elitarnej jednostce SAS.

Słucha muzyki klasycznej, jazzu, ale też rocka: Rolling Stonesów, The Who czy Jethro Tull. Ma imponującą kolekcję płyt – winylowy gość w zdigitalizowanym świecie.

Jeździ kultowym Saabem 900.

Powiedzieć, że nie stroni od alkoholu, to niedomówienie: pije piwo (głównie IPA) i whisky (jego ulubiona to Bell's), najchętniej w edynburskim Oxford Bar. I pali, o wiele za dużo.

Ma córkę i jest rozwiedziony. Jeśli chodzi o kobiety, raczej brakuje mu szczęścia.

Nieufny wobec autorytetów, postrzega świat w czarno-białych kolorach, a ludzi dzieli na dobrych i złych.

Szlachetny samotnik, trochę nieokrzesany, który dobre serce maskuje szorstkim usposobieniem i złośliwym poczuciem humoru.

I za to go kochamy!

1

Dojarnia

ZADZIWIAJĄCE, ŻE SĄSIEDZI SIĘ nie skarżyli, a nawet – jak wielu z nich mówiło później dziennikarzom – nie byli niczego świadomi. Do czasu, aż tamtej nocy sen zakłóciły im nagłe hałasy na ulicy. Samochody osobowe, furgonetki, policjanci, monotony szum krótkofalówek. Ale hałas nie wymknął się spod kontroli. Operację wykonano tak szybko i co więcej, policjanci byli w tak dobrym humorze, że niektórzy przespali całe zamieszanie.

– Oczekuję dobrych manier – wyjaśnił tego wieczoru swoim ludziom w sali odpraw komendant Watson, nazywany Farmerem. – Nawet jeśli jest to burdel, to znajduje się po odpowiedniej stronie miasta, jeśli rozumiecie, co chcę powiedzieć. Nie wiadomo, kogo tam zastaniemy, może nawet trafimy na naszego drogiego komendanta głównego.

Szerokim uśmiechem dał do zrozumienia, że żartuje, na co kilku funkcjonariuszy w sali odpraw, którzy znali komendanta głównego lepiej niż on, wymieniło spojrzenia i ironiczne uśmieшки.

– W porządku – rzucił Watson. – Jeszcze raz powtórzmy plan ataku...

Chryste, on jest wniebowzięty, pomyślał detektyw inspektor John Rebus. Cieszy się każdą minutą. Ale właściwie dlaczego miałby się nie cieszyć? Ta akcja była przecież dzieckiem Watsona i miał to być domowy poród, co oznaczało, że Watson zamierzał dowodzić nią od niepokalanego poczęcia do niepokalanych narodzin.

A może ta potrzeba naprężenia mięśni to andropauza? Większość komendantów, których Rebus poznał przez dwadzieścia lat kariery w policji, zadowalała się papierkową robotą i wyczekiwaniem na emeryturę. Ale nie Watson. On był jak Kanał Czwarty: pełen niezależnych programów, które cieszyły się znikomym zainteresowaniem. Niewiele wynikało z tego, co robił, ale szumu było od cholery.

Teraz najwyraźniej miał informatora, niewidzialną postać, która szepnęła mu do ucha: „Burdel, grzech i rozpusta!”. W twardym prezbiteriańskim sercu Watsona wznicił się żar sprawiedliwego oburzenia. Był typem chrześcijanina z Highlands uważającego za ledwie do przyjęcia seks małżeński – którego dowodami byli syn i córka – i gardził każdą formą lubieżności. Jeżeli w Edynburgu był jakiś czynny burdel, Watson chciał zamknąć jego diabelskie podwoje.

Tylko że kiedy informator podał adres, Watson się zawahał. Burdel mieścił się na jednej z lepszych ulic New Town, pośród cichych georgiańskich szeregowców zamieszkałych przez uznanych profesjonalistów: prawników, chirurgów, profesorów uniwersyteckich. Przy domach rosły drzewa i parkowały saaby albo volvo. To nie była dymalnia dla marynarzy, z ciągiem wilgotnych ciemnych pokoi nad pubem w porcie. Był to, jak Rebus zasugerował, dom towarzyski śmietanki towarzyskiej.

Watson nie podchwycił żartu.

Przez kilka dni i nocy prowadzono obserwację, wykorzystując nieoznakowane samochody i niewyróżniających się niczym funkcjonariuszy w cywilu. Jedno nie ulegało wątpliwości: cokolwiek odbywało się za zamkniętymi okiennicami pomieszczeń domu, działo się to po północy i przebiegało szybko. Co ciekawe, niewielu spośród licznych mężczyzn podjeżdżało pod budynek samochodami. Przyczynę odkrył detektyw posterunkowy, który skrył się w kącie, bo musiał się wysikać: goście parkowali auta w bocznych uliczkach, a potem przemierzali pieszo jakieś sto metrów do frontowych drzwi trzypiętrowego budynku. Być może taka była polityka właścicieli przybytku: trzaskanie drzwiami samochodów po godzinach wzbudzałyby podejrzenia na cichej ulicy. A może w interesie gości nie leżało zostawianie aut w pełnym świetle ulicy, gdzie mogliby zostać rozpoznani...

Spisano i zweryfikowano numery rejestracyjne, zrobiono odwiedzającym zdjęcia. Namierzono też człowieka, do którego należał budynek. Był współwłaścicielem francuskiej winnicy oraz kilku posiadłości w Edynburgu i przez cały rok mieszkał w Bordeaux. Jego prawnik zajął się wynajęciem domu w New Town niejakiej pani Croft, dystygowanej kobiecie po pięćdziesiątce. Według niego opłacała czynsz bez zwłoki i w gotówce. Czy był jakiś problem?

Żadnego, zapewniono, ale gdyby był pan łaskaw zachować tę rozmowę dla siebie...

Mężczyźni, na których były zarejestrowane parkujące nieopodal pojazdy, okazali się biznesmenami, niektórzy lokalnymi, lecz większość przyjeżdżała do Edynburga z Anglii. Rozgoryczony Watson zaczął planować nalot. Z

typową dla siebie mieszanką dowcipu i błyskotliwości postanowił nazwać go operacją Burda.

– Burda, burdel, rozumiesz, John.

– Tak, panie komendancie – odpowiedział Rebus. – Zastanawiałem się kiedyś, czy nazwa burdel wzięła się od burdy.

Watson wzruszył ramionami. Nie był typem człowieka, który wchodzi w dygresje.

– Mniejsza o burdę – powiedział. – Bierzmy się za burdel.

OCENIANO, ŻE KOŁO PÓŁNOCY ruch w burdelu będzie największy, więc na czas obławy wybrano sobotę, godzinę pierwszą. Nakazy leżały gotowe. Każdy w zespole znał swoje miejsce. Prawnik dostarczył nawet plany budynku i funkcjonariusze się z nimi zapoznali.

– Cholerna kręta nora – powiedział Watson.

– Nie ma problemu, dopóki mamy pod dostatkiem kretów.

Prawdę mówiąc, Rebus nie czekał entuzjastycznie na tę akcję. Może burdele były nielegalne, ale zaspokajały pewne potrzeby, a jeśli zachowywały przy tym pozory obyczajności, to w czym tkwił problem? W oczach Watsona można było dostrzec wątpliwości, skoro jednak od początku tryskał entuzjazmem, to wycofanie się teraz było nie do pomyślenia i wydawałoby się oznaką słabości. Choć więc nikt nie rwał się do tej operacji, ruszyła z impetem. Tymczasem ulice, na których dochodziło do przestępstw, nie były nawet patrolowane, przemoc domowa zbierała swoje żniwo, a sprawa utonięcia w rzece Water of Leith wciąż pozostawała nierozwiązana.

– Dobra, zaczynamy.

Zostawili samochody i ruszyli w kierunku wejścia. Cicho zastukali. Drzwi stały otworem, a potem wszystko zaczęło się kręcić jak na kasecie wideo na szybkim przewijaniu. Otworzyły się kolejne drzwi... Ile może ich być w takim budynku? Najpierw stukanie, potem otwieranie. O tak, przede wszystkim maniery.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko, prosimy włożyć ubranie...

– Zechce pan łaskawie zejść na dół...

– Może pan najpierw włożyć spodnie, jeżeli pan sobie życzy...

A potem...

– Chryste Panie, musi pan to zobaczyć – powiedział detektyw posterunkowy z zarumienioną młodzieńczą twarzą.

Rebus poszedł za nim.

– Tutaj, inspektorze. Niech pan popatrzy.

Ach, tak, sala tortur. Łańcuchy, pasy, pejce. Kilka wielkich luster, szafa pełna sprzętu.

– Tu jest więcej skóry niż w cholernej dojrarni.

– Widzę, że znasz się na krowach, synu. – Rebus dziękował Bogu, że w tym pokoju nikogo poza nimi nie było. Czekąco go jednak więcej niespodzianek.

Ten przybytek nie wydawał się znacznie bardziej lubieżny niż bal przebierańców – pielęgniarzy i matrony, czepki zakonnice i szpilki – tyle że większość kostiumów więcej odsłaniała, niż ukrywała. Jakaś młoda kobieta miała na sobie gumowy kombinezon do nurkowania z wyciętymi otworami na krocze i sutki. Inna wyglądała jak skrzyżowanie Heidi z Evą Braun. Watson obserwował tę paradę

rozogniony sprawiedliwą furią – nie miał już wątpliwości, że to miejsce należy bezwzględnie zamknąć. Rozmawiał z panią Croft, podczas gdy szef dochodzeniówki, inspektor Lauderdale, kontrolował sytuację z bliska. Nalegał, żeby komendant mu towarzyszył, bo znał przełożonego na tyle dobrze, że spodziewał się wielkiej zadymy. Na szczęście nikt nie próbuje wydymać nas, pomyślał Rebus z uśmiechem.

Pani Croft posługiwała się czymś w rodzaju zgentryfikowanego cockneyowskiego slangu, który jednak z każdą chwilą stawał się mniej zgentryfikowany, podczas gdy kolejne pary sunęły po schodach do dużego salonu z kanapami, gdzie unosił się zapach drogich perfum i markowej whisky. Pani Croft wszystkiemu zaprzeczała. Zaprzeczała nawet, że w ogóle znajdują się w burdelu.

Nie mój cyrk, nie moje małpy, pomyślał Rebus. Mimo to na swój sposób podziwiał jej przedstawienie. Jest kobietą biznesu, płacącą podatki, ma swoje prawa, powtarzała. A poza tym żądała kontaktu z adwokatem.

– Myślałem, że ona jest tu doradcą prawnym – mruknął Lauderdale i był to rzadki moment humoru jednego z najbardziej ponurych gnojków, z jakimi Rebus pracował.

Docenił to i uśmiechnął się.

– Co się tak szczerzysz? – rzucił Lauderdale. – Nie wiedziałem, że jest przerwa. Bierz się za robotę.

– Tak jest. – Rebus poczekał, aż przełożony odwróci się, żeby dosłyszeć, co mówi Watson, i pokazał mu środkowy palec.

Zauważyła to pani Croft i być może sądząc, że gest był skierowany do niej, odwzajemniła go. Lauderdale i Watson spojrzeli w stronę Rebusa, ale zdołał czmychnąć z ich pola widzenia.

Funkcjonariusze, którzy pilnowali ogrodów na tyłach domu, wprowadzili z powrotem do budynku kilka błądych dusz. Jeden z mężczyzn wyskoczył z okna na pierwszym piętrze, w wyniku czego kuśtykał, upierał się jednak, że lekarz nie jest mu potrzebny i nie trzeba wzywać karetki. Kobiety wydawały się rozbawione i zadowolone z wyrazu twarzy klientów, zawstydzonych i zażenowanych, wściekłych albo zakłopotanych. W kilku przypadkach nie obyło się też bez chwilowej brawury typu „Znam swoje prawa”, ale na ogół wszyscy robili, co im kazano, to znaczy: zamykali się i uzbrajali w cierpliwość.

Wstyd i konsternacja po części wyparowały, gdy jeden z mężczyzn przypomniał sobie, że odwiedzanie burdelu nie jest nielegalne – nielegalne było jedynie prowadzenie go albo pracowanie w nim – i nie mylił się. Mimo to panowie nie zamierzali pierzchnąć ukradkiem w anonimową noc. Logika była prosta: najpierw ich wystraszyć, potem odesłać. Jeśli pozbawi się burdele klientów, przybytki znikną. Policjanci wyciągali z rękawa wyświechtane historyjki, którymi karmili zwykle klientów stojących na ulicach prostytutek.

– A tak między nami, proszę pana... na pana miejscu zrobiłbym badania na AIDS. Mówię poważnie. Większość tych kobiet może roznosić choroby, nawet jeśli nie widać symptomów... Przeważnie nie widać, dopóki nie jest za późno. Jest pan żonaty? Może ma pan dziewczynę? Najlepiej im powiedzieć, żeby również się przebadaly. W przeciwnym razie nigdy nie wiadomo, prawda?

Metoda okrutna, lecz konieczna i – jak w przypadku większości okrutnych słów – kryło się w niej ziarno prawdy.

Pani Croft jako biura używała małego pokoju na zapleczu.

Znaleziono kasetkę z pieniędzmi, a także terminal do kart kredytowych. Opłaty pobierano na pensjonat Crofter. Z tego, co Rebus wykalkulował, koszt pokoju jednoosobowego wynosił siedemdziesiąt pięć funtów. Drogo jak na bed & breakfast, ale ilu księgowych zadałoby sobie trud, żeby to sprawdzić? Rebus nie zdziwiłby się, gdyby odprowadzono od tego VAT...

– Inspektorze? – zwrócił się do niego detektyw sierżant Brian Holmes, świeżo po awansie i rwący się do pracy. Stał w połowie schodów na piętro. – Lepiej tu przyjdź.

Rebus się nie kwapił. Mieszkał na drugim piętrze kamienicy i miał naturalną awersję do schodów. Oczywiście Edynburg był ich pełen, tak jak pełen był wzgórz, uciążliwych wiatrów i ludzi, którzy lubili narzekać na wzgórze, schody i wiatr...

– Idę.

Za drzwiami sypialni stał detektyw posterunkowy i szeptem rozmawiał z Holmesem. Kiedy ten zauważył Rebusa wchodzącego na podest, odprawił posterunkowego.

– Tak, sierżancie?

– Proszę zobaczyć.

– Chcesz mi coś najpierw powiedzieć?

Holmes pokręcił głową.

– Zakładam, że już widziałeś członka... męskiego członka.

Rebus otworzył drzwi sypialni. Co spodziewał się odkryć? Podróbkę lochu z golasem rozciągniętym na krzyżu świętego Andrzeja? Scenę jak z farmy z paroma kurczakami i owcami? Członek... męski. Może pani Croft powiesiła ich kolekcję na ścianie swojej sypialni. „Ten jest z roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego. Stoczyłam ciężką

walkę, ale w końcu go posiadałam”.

Ale nie, to było coś gorszego. Dużo gorszego. Pomieszczenie wyglądało na zwyczajną sypialnię, choć kilka lampek emitowało czerwone światło. W zwyczajnym łóżku leżała dość zwyczajnie wyglądająca kobieta, z łokciem wciśniętym w poduszkę i przechyloną głową opartą na zaciśniętej pięści. A na łóżku, ze wzrokiem wbitym w podłogę, siedział, całkowicie ubrany, ktoś, kogo Rebus od razu rozpoznał: członek Parlamentu z okręgu Północnego i Południowego Esk.

– Jezu Chryste – westchnął inspektor.

Holmes wsunął głowę za drzwi.

– Nie pracuję przed pieprzoną publicznością! – wykrzyczała kobieta.

Akcent, jak zauważył Rebus, miała angielski. Holmes ją zignorował.

– Jaki zbieg okoliczności – zwrócił się do posła Gregora Jacka. – Właśnie przeprowadziliśmy się z dziewczyną do pańskiego okręgu wyborczego.

Poseł podniósł oczy, bardziej ze smutkiem niż z gniewem.

– Zaszła pomyłka – odezwał się. – Straszliwa pomyłka.

– Oczywiście, proszę pana. Uprawiacie tu... agitację?

Kobieta, z głową wciąż spoczywającą na ręce, ryknęła śmiechem. Czerwone światło lampki wypełniło jej rozchylone usta. Gregor Jack przez chwilę wyglądał, jakby miał zamiar zadać jej cios pięścią. Spróbował jednak wymierzyć jej policzek otwartą dłońią, ale udało mu się tylko złapać kobietę za rękę, tak że jej głowa opadła na poduszkę. A ona wciąż się śmiała, jak młoda dziewczyna. Uniósła wysoko nogi, zsuwając z nich pościel; z rozbawienia tłukła rękoma w materac. Jack podniósł się i nerwowo podrapał

się po palcu.

– Jezu Chryste – powtórzył Rebus. – Zabieramy pana na dół.

NIE WATSON. TEN MÓGŁBY SIĘ ROZSYPAC. JUŻ LEPIEJ LAUDERDALE. Rebus podszedł do niego z taką pokorą, jaką zdołał z siebie wykrzesać.

– Mamy mały problem.

– No jasne. Ten bęcwał Watson chciał swoich pięciu minut chwały. Zawsze lubił rozgłos, powinienes o tym wiedzieć.

Czy to był szyderczy uśmieszek, ten grymas na twarzy Lauderdale'a? Z wychudzoną sylwetką i pozbawioną krwi twarzą szef dochodzeniówki przypominał Rebusowi pewien obraz, przedstawiający kalwinistów czy secesjonistów... jakąś ponurą bandę tego typu. Gotową spalić każdego, kto nawinie się pod rękę. Rebus trzymał się na dystans i cały czas tylko kręcił głową.

– Nie jestem pewien, czy...

– Pismaki już tu są – syknął Lauderdale. – Szybko się uwinęli, co? Nawet jak na naszych „przyjaciół” z prasy. Ten cholerny Watson musiał ich uprzedzić. Jest teraz z nimi. Próbowałem go powstrzymać.

Rebus podszedł do jednego z okien i wyjrzał na zewnątrz. Rzeczywiście, przy schodach prowadzących do drzwi wejściowych zebrało się kilku reporterów. Komendant zakończył oświadczenie i odpowiadał na pytania, jednocześnie powoli wycofując się w górę po schodach.

– Mój Boże... – Rebus podziwiał swoją zdolność do wymownego milczenia. – On tylko pogarsza sprawę...

– Co pogarsza?

Rebus powiedział mu i został nagrodzony największym uśmiechem, jaki kiedykolwiek widział na gębie przełożonego.

– No, no... – rzucił Lauderdale. – I kto tu był niegrzecznym chłopcem? Ale ja wciąż nie widzę problemu.

Rebus wzruszył ramionami.

– Nikomu to nie wyjdzie na dobre – odparł.

Za oknem pojawiły się furgonetki. Dwie, żeby zabrać na komendę kobiety, a kolejne dwie po ich klientów. Mężczyznom zada się kilka pytań, spisze się nazwiska i adresy, a potem wypuści. Kobiety... cóż, to już zupełnie inna bajka. Zostaną im postawione zarzuty, co Gill Templer, dawna koleżanka Rebusa, nazwałaby kolejnym przejawem społeczeństwa fallocentrycznego czy jakoś tak. Odkąd wpadły jej w ręce książki o psychologii, nie była to już ta sama Gill...

– Nonsens – powiedział Lauderdale. – Pretensje może mieć tylko do siebie. Co mielibyśmy zrobić? Wyciągnąć go tylnymi drzwiami z kocem na głowie?

– Nie, ale...

– Zostanie potraktowany tak samo jak pozostali, inspektorze. Znasz zasady.

– Tak, ale...

– Ale co?

Ale co? Oto jest pytanie. Dlaczego Rebus czuł ten dyskomfort? Odpowiedź – na swój skomplikowany sposób – była prosta: bo to był Gregor Jack. Większością innych posłów Rebus nie zaprzętałby sobie głowy. Ale Gregor Jack był... no cóż... Gregorem Jackiem.

– Furgonetki już są, inspektorze. Zwijajmy się.

Ręka Lauderdale'a na jego plecach była zimna i stanowcza.

– Tak jest – potwierdził Rebus.

Wyszedł na zewnątrz w chłodną, ciemną noc, rozświetloną pomarańczowymi lampami sodowymi, blaskiem reflektorów i przyciemnionym światłem dobiegającym zza otwartych drzwi i poruszanych żaluzji. Lokalsi byli niespokojni. Niektórzy wychodzili na próg, w szlafrokach w tureckie wzory albo innych chwyconych naprędce ubraniach, które na nich wisały.

Policja, tubylcy, no i oczywiście dziennikarze. Chryste, oczywiście zleźli się też fotoreporterzy z fleszami w pogotowiu. Nie było natomiast ekip filmowych, żadnych kamer. To już coś: Watson nie namówił stacji telewizyjnych do wzięcia udziału w jego nocnym przedstawieniu.

– Do furgonetki, natychmiast! – zawołał Brian Holmes.

Czyżby w jego głosie pojawiła się stanowczość wynikająca ze świeżo nabytego autorytetu? Zabawne, jak awans wpływa na młodych. Ale wszyscy natychmiast ruszyli. Rebus wiedział, że nie tyle wykonywali rozkazy Holmesa, ile chcieli uciec przed kamerami. Parę kobiet pozowało, wyginało się koślawo, żeby było seksownie, aż wreszcie dały się przekonać funkcjonariuszce, że to nie czas ani miejsce na to.

Reporterzy jednak zwlekali. Rebus zastanawiał się dlaczego. I właściwie co tu robili? Czy skandal był aż tak godny uwagi? Czy zapewniłby Watsonowi przydatny rozgłos? Jeden z dziennikarzy złapał za ramię fotoreportera i ostrzegł przed robieniem zbyt wielu zdjęć. Nagle jednak się rozochocili i zaczęli wrzeszczeć. Flesze strzelały jak ogień przeciwlotniczy. Wszystko dlatego, że rozpoznali twarz. Po

schodach, a potem wąskim chodnikiem szedł prosto do furgonetki eskortowany Gregor Jack.

- Chryste, to Gregor Jack!
- Panie Jack! Chociaż słowo!
- Jak pan to skomentuje?
- Co pan robił w...
- Żadnego komentarza?

Drzwi się zamknęły. Jeden z funkcjonariuszy rąbnął dłonią w bok furgonetki i powoli ruszyła. Reporterzy popędzili za nią. Jedno Rebus musiał przyznać: Jack podniósł głowę. Nie, to niezbyt precyzyjne określenie. Trzymał ją dostatecznie nisko, by okazać skruczę, ale nie wstyd; pokorę, ale nie zażenowanie.

- Siedem dni był moim posłem – odezwał się Holmes, siedzący u boku Rebusa. – Siedem dni.

- Musiałeś mieć na niego zły wpływ, Brian.
- Przecież to oburzające, nie sądzisz?

Inspektor wzruszył ramionami. Wyprowadzano właśnie kobietę, która była w sypialni z Gregorem Jackiem. Zdołała włożyć dzinsy i T-shirt. Na widok reporterów uniosła go, ukazując nagie piersi.

- Co, chcecie się pogapić? No to macie!

Dziennikarze zajęli się jednak porównywaniem notatek, a fotoreporterzy wkładali do aparatów nowe filmy. Planowali udać się pod komendę, żeby dorwać posła, gdy będzie wychodził. Nikt nie zwrócił na kobietę uwagi, opuściła więc T-shirt i wsiadła do furgonetki.

- Nie jest zbyt wybredny, co? – zapytał Holmes.
- A cholera wie – odparł Rebus. – Może właśnie jest...

Triumfujący Watson pocierał lśniące czoło, co nie było proste, bo zdawało się sięgać aż po czubek jego głowy.

- Misja zakończona – oznajmił. – Dobra robota.
- Dziękuję, panie komendancie – powiedział uroczyście

Holmes.

- Nie było problemów?
- Gdzie tam – rzucił Rebus. – Chyba że liczyć Gregora

Jacka.

Komendant skinął głową, lecz po chwili zmarszczył brwi.

- Kogo? – zapytał.

- Brian wszystko panu powie. – Rebus poklepał detektywa sierżanta po plecach. – Brian to pański człowiek od wszystkiego, co śmierdzi polityką.

Watson, zawieszony gdzieś między uniesieniem a przerażeniem, wlepił spojrzenie w Holmesa.

- Polityką? – zapytał.

Holmes tylko się uśmiechnął, jakby chciał powiedzieć: „Proszę o łagodne potraktowanie”.

A potem obserwował, jak inspektor Rebus kieruje się do domu. I czuł się tak, jakby podcięto mu skrzydła. No ale przecież Rebus to skurwiel...

2

Człowiek ze skazą

JEST PRAWDĄ POWSZECHNIE ZNANĄ, że są członkowie Parlamentu, którzy nie potrafią trzymać w spodniach swoich klejnotów. Ale Gregor Jack w oczach opinii publicznej do nich nie należał. Zresztą często w ogóle unikał spodni i pojawiał się na wieczorach wyborczych i publicznych imprezach w kilcie. W Londynie przyjmował kpiny z pokerową twarzą, a na stare jak świat pytania recytował odpowiedzi jak katechizm.

– Powiedz nam, Gregor, co nosisz pod kiltem?

– Och, nic, zupełnie nic. Wszystko jest tam w doskonałym porządku.

Gregor Jack nie był członkiem Szkockiej Partii Narodowej, choć w młodości miał z nią romans. Wstąpił do Partii Pracy, zrezygnował jednak z członkostwa w niej z bliżej nieokreślonych powodów. Nie był liberalnym demokratą. Nie zasilał też rzadkiego gatunku posłów: szkockich torysów. Gregor Jack był posłem niezależnym i jako taki od czasu dość zaskakującego zwycięstwa w wyborach uzupełniających w 1985 roku sprawował mandat w okręgu Północny i Południowy Esk, leżącym na południe i wschód

od Edynburga. „Umiarkowany” – tego określenia często używano w stosunku do Jacka, podobnie jak: „uczciwy”, „praworządny” i „przyzwoity”.

Rebus znał to wszystko z przeszłości, ze starych gazet, magazynów i wywiadów radiowych. Ale ten darzony szacunkiem człowiek musiał skrywać słaby punkt, jakąś skazę w swojej lśniącej zbroi. Nie martw się o to, operacja Burda ją znajdzie. Przejrzał sobotnią prasę w poszukiwaniu artykułu. Nic nie znalazł. Ciekawe, zwłaszcza że w nocy dziennikarze wyglądali na gorliwych. I z pewnością było dostatecznie dużo czasu, by ich materiał z pierwszej trzydziści... trafił do druku porannych wydań. Chyba że reporterzy nie byli miejscowi. Ale przecież musieli być. Mimo to Rebus nie rozpoznał w gazetach żadnej twarzy. Czy Watson naprawdę miała na tyle mocne plecy, by zaangażować w sprawę londyńską prasę? Rebus się uśmiechnął. Ten człowiek miał mocne plecy, o które dbała jego żona. Trzy posiłki dziennie, trzydaniowe.

Nakarm ciało, mawiał, a napoisz ducha. Coś w tym stylu. I kolejna rzecz: choć bardzo religijny, nie żałował sobie alkoholu. Różany blask na policzkach i podbródku, wyraźny zapach wyjątkowo mocnych miętówek. Inspektor Lauderdale, gdy wchodził do biura komendanta, węszył niczym pies gończy. Tyle że nie szukał krwi, ale awansu.

Stracisz Farmera, zyskasz Fart.

Ten przydomek był nieunikniony. Zwyczajna gra słów. Nazwisko Lauderdale skojarzyło się z Fortem Lauderdale, a Fort szybko zmienił się w Fart*. I jakież to było trafne! Gdziekolwiek Lauderdale się udał, zostawiał po sobie

* *Fart* (ang.) – pierdnięcie.

smród, jakby puścił bąka. Jak wtedy ze sprawą kradzieży książek. W chwili, gdy Lauderdale wszedł do jego biura, Rebus już wiedział, że trzeba będzie otworzyć okna.

– Weź się za to porządnie, John. Profesor Costello to ceniony międzynarodowy autorytet w tej dziedzinie...

– I?

– I... I jest przyjacielem komendanta Watsona – odparł Lauderdale takim tonem, jakby nie przywiązywał do tego znaczenia.

– Ach.

– Co to ma być? Tydzień monosylabowy?

– Monosylabowy? – Rebus uniósł brwi. – Wybacz, szefie, muszę zapytać detektywa sierżanta Holmesa, co to znaczy.

– Nie próbuj być zabawny...

– Nie, mówię szczerze. Sierżant Holmes w przeciwieństwie do mnie studiował na uniwersytecie. Jakieś... pięć miesięcy. Będzie odpowiednim człowiekiem do koordynowania gliniarzy pracujących nad tą niezwykle delikatną sprawą.

Lauderdale bardzo długo taksował go wzrokiem – a przynajmniej tak się Rebusowi zdawało. Boże, czy ten człowiek jest naprawdę aż tak głupi? Czy w dzisiejszych czasach nikt już nie docenia ironii?

– Słuchaj – odezwał się w końcu Lauderdale. – Potrzebuję kogoś nieco starszego niż detektyw świeżo awansowany na sierżanta. I przykro mi to stwierdzić, ale ty, Boże, dopomóż nam wszystkim, jesteś nieco starszy.

– Schlebia mi pan, szefie.

Na biurku Rebusa z głuchym hukiem wylądowały akta. Lauderdale odwrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia. Rebus podniósł się z krzesła, podszedł do okna i szarpnął

je z całej siły. Było jednak mocno zakleszczone. Nie miał wyjścia; westchnął, zawrócił i usiadł przy biurku. A potem otworzył teczkę.

To był klasyczny przypadek kradzieży. Profesor James Aloysius Costello wykładał teologię na Uniwersytecie Edynburskim. Pewnego dnia ktoś wszedł do jego gabinetu, a następnie wyszedł z niego, zabierając kilka rzadkich książek. Bezcennych, jak twierdził profesor, ale nie według księgarzy i domów aukcyjnych w mieście. Lista była dość eklektyczna: wczesne wydanie traktatu o predestynacji Knoxa, kilka pierwszych wydań Waltera Scotta, *Wisdom of Angels* Swedenborga, wczesne wydanie *Tristrama Shandy'ego* z podpisem autora oraz tomy Montaigne'a i Woltera.

Pozycje te niewiele mówiły Rebusowi i nie zdawał sobie sprawy z ich wartości, dopóki nie zobaczył wyceny dzieł dostarczonej przez dom aukcyjny na George Street. Pytanie brzmiało: co te książki w ogóle robiły w gabinecie profesora?

– Służyły do czytania – odpowiedział beztrąsko Costello.
– Do cieszenia oka i podziwiania. Jaki byłby pożytek z ukrycia ich w sejfie lub starej bibliotecznej gablocie?

– Czy ktoś jeszcze o nich wiedział? Chodzi mi o to, czy ktoś wiedział, jak bardzo są cenne?

Profesor wzruszył ramionami.

– No cóż, inspektorze, sądziłem, że jestem wśród przyjaciół.

Głos miał wilgotny jak torfowisko, oczy błyszczące jak kryształ. Studiował w Dublinie, lecz życie, jak to ujął, „klasztorne” spędził w Cambridge, Oksfordzie, St Andrews i w końcu osiadł w Edynburgu. Życie poświęcone gromadzeniu książek. Te, które zostały w jego gabinecie,

warte były co najmniej tyle co ukradzione tomy, a może i więcej.

– Mówią, że piorun nie uderza dwa razy w to samo miejsce – powiedział.

– Piorun może nie, ale złoczyńcy owszem – odparł Rebus.
– Proszę zamykać drzwi na klucz, gdy pan wychodzi, co? Chociaż tyle.

Profesor znów wzruszył ramionami. Czy to rodzaj stoicyzmu? – zastanawiał się Rebus. Siedząc w gabinecie przy Buccleuch Place, był zdenerwowany. Z jednej strony sam był chrześcijaninem i chętnie porozmawiałby na ten temat z tym mądrym człowiekiem... Mądrym? Hm... nie na tyle mądrym, by wiedzieć, jak działają zamki i ludzkie umysły, lecz mądrym pod innymi względami. Z drugiej strony był poirytowany, bo miał siebie za mądrego człowieka, który mógłby być mądrzejszy, gdyby sobie nie odpuścił. Nie studiował na uniwersytecie i nigdy nie miał takiego zamiaru. Zastanawiał się, kim byłby teraz, gdyby się jednak zdecydował...

Profesor zatopił spojrzenie w brukowanej ulicy za oknem. Po jednej stronie Buccleuch Place stał rząd schludnych kamienic należących do uniwersytetu, zagospodarowanych przez różne wydziały. Profesor nazywał je Botany Bay, od miejsca dawnej australijskiej kolonii karnej. A po drugiej stronie wznosiły się szpetniejsze nowoczesne kamienne gmachy głównego kompleksu uniwersyteckiego. Jeśli to ta strona ulicy była Botany Bay, Rebus nie miałby nic przeciwko temu, żeby go tam zesłano.

Pozostawił profesora z jego myślami i refleksjami. Czy książki skradziono przypadkowo? A może rabunek zaplanowano, może złodziej kraść na zlecenie? Być może

znaleźliby się pozbawieni skrupułów kolekcjonerzy, którzy bez zadawania pytań zapłaciliby ładną sumkę za wczesne wydanie *Tristrama Shandy'ego*. Choć nazwiska autorów wydawały się znajome, to tylko ten tytuł coś Rebusowi mówił. Miał zresztą egzemplarz tej książki w miękkiej oprawie, kupiony za dziesięć pensów przy parku miejskim The Meadows, gdzie sprzedawano starocie prosto z samochodów. Może profesor chciałby go pożyczyć...

I tak oto inspektor John Rebus wszczął dochodzenie w sprawie kradzieży książek. Jak wskazywały raporty ze sprawy, przeprowadzono wstępne rozeznanie, ale trzeba było je powtórzyć. Były domy aukcyjne, księgarnie, prywatni kolekcjonerzy... wszyscy do przesłuchania. I to tylko po to, by podtrzymać wątpliwą przyjaźń między komendantem edynburskiej policji a profesorem teologii. Strata czasu. Książki zniknęły w poprzedni wtorek. Była sobota, więc bez wątpienia znajdowały się pod kluczem w jakimś sekretnym ciemnym kącie.

Co za sposób na spędzenie soboty! Szczerze mówiąc, gdyby Rebus mógł dysponować własnym czasem, byłoby to miłe popołudnie, ale z drugiej strony może właśnie dlatego nie wzbraniał się przed podjęciem tego śledztwa. Bo Rebus sam kolekcjonował książki. No, może to zbyt mocne słowa. Kupował książki. Kupował ich więcej, niż miał czasu na czytanie, zwabiony a to okładką, a to tytułem, a to recenzją. Po namyśle więc stwierdził, że zamiast na zakupach w księgarniach może spędzać dni wolne na służbowych rozmowach; inaczej zbankrutowałby w rekordowym tempie.

Poza tym to nie literatura zaprzętała mu głowę. Wciąż myślał o pewnym członku Parlamentu. Czy Gregor Jack miał żonę? Rebus przypuszczał, że tak. Czy kilka lat

wcześniej nie trąbiono o jego wystawnym ślubie? Tyle że żonaci mężczyźni to chleb powszedni dla prostytutek, które po prostu ich pożerały. Szkoda, że znalazł się wśród nich Jack. Rebus zawsze szanował tego człowieka – co, gdy teraz o tym myślał, oznaczało, że dał się nabrać na jego publiczny wizerunek. Ale to nie mógł być tylko wizerunek. Jack wywodził się z klasy robotniczej, piął się stopniowo po szczeblach kariery i sprawdził się jako poseł. Północny i Południowy Esk – po części z górniczymi wioskami, po części z posiadłościami – był trudnym okręgiem wyborczym, ale Jack potrafił się w nim odnaleźć. Udało mu się zmienić trasę paskudnej nowej drogi, tak by biegła z dala od jego zamożnych wyborców, ale też ciężko walczył o wprowadzenie na ten obszar zaawansowanego technologicznie przemysłu i pracował nad przekwalifikowaniem górników, żeby mogli znaleźć w nim pracę.

Zbyt dobry, żeby był prawdziwy. Zbyt cholernie dobry, żeby był prawdziwy...

Księgarnie. Rebus musiał skupić się na księgarniach. Do sprawdzenia pozostało tylko kilka, takich, których nie otwierano wcześniej. Taką pracę na nogach powinien zlecać młodszemu stopniem detektywom. Ale w praktyce oznaczałoby to tylko tyle, że musiałyby chodzić za nimi i sprawdzać, co w danej sprawie zrobili. Gdy ruszał sam, oszczędzał sobie komplikacji.

Buccleuch Street stanowiła dziwny melanz ponurych sklepów z rupieciami i jasnych wegetariańskich barów z daniami na wynos. Dzielnica studencka, położona niedaleko jego mieszkania, chociaż rzadko zapuszczał się w tę część miasta. Jedynie służbowo. Zawsze tylko służbowo.

Wreszcie znalazł tę księgarnię. U Samoba. Tym razem

wyglądała na otwartą, bo w środku paliło się światło, co najwyraźniej było konieczne nawet w blasku wiosennego słońca. Był to mały sklepik z niezbyt porywającą wystawą starych książek w twardych oprawach, które w większości miały szkockie motywy. Na środku witryny zadomowił się ogromny czarny kot i złośliwie mrugał do Rebusa. Szkło wystawowe wymagało czyszczenia. Tytułów książek nie dało się odczytać bez przyciśnięcia nosa do szyby, a sprawę dodatkowo utrudniał czarny stary rower oparty o front budynku. Rebus pchnął drzwi. Wnętrze sklepu sprawiało wrażenie jeszcze bardziej zapuszczonego, niż można było przypuszczać, patrząc z zewnątrz. Tuż za drzwiami leżała wycieraczka z włosia. Rebus zapisał sobie w pamięci, żeby wytrzeć buty, zanim wróci na ulicę...

Półki, niektóre ze szklanymi drzwiczkami, były przepełnione, a w powietrzu unosił się zapach domów starych krewnych, strychów i zawartości ławek szkolnych. Przejścia były tak cholernie ciasne, że nawet mysz by się nie prześliznęła. Gdzieś za nim rozległ się huk. Obawiał się, że zrzucił którąś z książek, ale kiedy się odwrócił, zobaczył, że to kot. Zwierzę ominęło go i ruszyło na tyły sklepu, w stronę biurka, nad którym dyndała goła żarówka.

– Szuka pan czegoś konkretnego?

Siedziała przy biurku ze stertą książek. W jednej ręce trzymała ołówek i prawdopodobnie zapisywała ceny na wewnętrznych stronach okładek. Z daleka scena jak z Dickensa. Z bliska zupełnie inna historia. Dziewczyna, jeszcze nastolatka, a już z ufarbowanymi sterczącymi krótkimi włosami. Oczy za okrągłymi przyciemnianymi okularami również były okrągłe i ciemne; w każdym uchu po trzy kolczyki, a na lewym nozdrzu połyskiwał jeszcze

jeden. Rebus nie wątpił, że ma trupio bladego chłopaka z długimi dreadami i chartem angielskim na sznurku.

- Szukam kierownika – oznajmił.
- Nie ma go. Mogę w czymś pomóc?

Wzruszył ramionami i jego wzrok padł na kota, który bezszelestnie wskoczył na biurko i ocierał się o książki. Dziewczyna wyciągnęła w jego stronę ołówek i zwierzak musnął jego czubek pyszczkiem.

- Inspektor Rebus – przedstawił się. – Przychodzę w sprawie skradzionych książek. Chciałbym wiedzieć, czy ktoś nie próbował ich sprzedać.

- Ma pan listę?

Miał; wyjął ją z kieszeni i podał.

- Proszę to zatrzymać – powiedział. – Na wszelki wypadek.

Zerknęła w dół na listę tytułów i wydań, po czym zacisnęła wargi.

- Nie sądzę, żeby Ronald mógł sobie na nie pozwolić, nawet gdyby go kusilo.

- Ronald to kierownik?
- Tak. Skąd ukradziono te książki?
- Z Buccleuch Place, za rogiem.
- Za rogiem? Złodziej raczej by ich tu nie przyniósł, nie sądzi pan?

Rebus uśmiechnął się.

- Ma pani rację – przyznał. – Ale musimy to sprawdzić.
- No dobrze, zatrzymam to – powiedziała, składając kartkę, i włożyła ją do szuflady biurka.

Rebus wyciągnął rękę, żeby pogłaskać kota, lecz czarna łapa niczym błyskawica poderwała się do góry i przejechała pazurami po jego nadgarstku. Cofnął dłoń i syknął,

gwałtownie wciągając powietrze.

– Jejku – rzuciła dziewczyna. – Rasputin nie przepada za kontaktem z obcymi.

– Nie wątpię. – Rebus gapił się na nadgarstek, na którym widniały trzy długie na kilka centymetrów ślady pazurów. Białe zadrapania wybrzuszały się, skóra puchła i pękała, a po chwili wypłynęły krople krwi. – Jezu. – Zaczął ssać zadrapaną rękę. Popatrzył na kota; ten odwzajemnił spojrzenie, zeskoczył z biurka i już go nie było.

– Wszystko w porządku?

– No, powiedzmy. Powinnaś, młoda damo, trzymać to coś na łańcuchu.

Uśmiechnęła się.

– Słyszał pan o obławie z wczorajszej nocy?

Rebus zamrugał, wciąż wsysając się w ranę.

– O jakiej obławie?

– Słyszałam, że policja zrobiła obławę na dom publiczny.

– Tak?

– I że złapali posła, Gregora Jacka.

– Naprawdę?

Znów się uśmiechnęła.

– Wszyscy o tym mówią.

Nie mieszkam w mieście, lecz na cholernej wsi, pomyślał Rebus, nie po raz pierwszy.

– Myślałam, że może pan coś wie. To znaczy, czy to prawda. Bo jeśli tak, to... – Westchnęła. – Biedny Nędzarz.

Rebus uniósł brwi.

– To jego ksywa – wyjaśniła. – Nędzarz. Ronald tak go nazywa.

– Twój szef zna pana Jacka?

– O tak, chodzili razem do szkoły. Nędzarz jest

właścicielem połowy tego lokalu. – Zatoczyła ręką łuk, jakby to był dom towarowy na Princes Street. Zauważyła, że na Rebusie nie zrobiło to wrażenia. – Za kulisami robimy wiele interesów – dodała, jakby się broniła. – Dużo kupujemy i sprzedajemy. Może tego nie widać, ale to miejsce jest kopalnią złota.

Skinął głową.

– Skoro o tym mowa, to nie wiem, jak ze złotem, ale wierzę, że można tu klientom dokopać. – Nadgarstek piekł, jakby go włożył w pokrzywy. Cholerny kot. – No dobrze, proszę mieć oko na te książki, zgoda?

Nie odpowiedziała, niewątpliwie urażona jego żartem. Otworzyła książkę, gotowa do zapisania ceny. Rebus pokiwał głową, podszedł do drzwi, głośno wytarł buty o wycieraczkę i opuścił sklep. Kot siedział znów w oknie, wylizując ogon.

– Pierdol się, kolego – mruknął Rebus.

Zwierzęta domowe wyzwalały w nim zwierzęce instynkty.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).